

KUPIŁEM NA TARGU FIGURYNKĘ IMIENIEM NARGILI, TROCHĘ PODOBNĄ DO JEZUSKA, ALE NIE DO KOŃCA. NAKRĘCIŁEM KLUCZYK, FIGURYNKA ZACZĘŁA TAŃCOWAĆ I PROSZĘ POSŁUCHAĆ, JAKA WYWIĄZAŁA SIĘ MIĘDZY NAMI ROZMOWA.



...I TAKA TO BYŁA ROZMOWA. PO MNIEJ WIĘCEJ PIĘTNASTU MINUTACH SPRĘZYNA PUŚCIŁA I FIGURKA PRZESTAŁA TAŃCOWAĆ.



Nowy Teatr

MIEJSKA POWIEŚĆ ODCINKOWA

9 lutego 2009
Warszawa-Kraków-
Bytom-Wrocław-
Poznań

PIOTR CZERSKI
Odcinek numer

5

MPO

Miejska Powieść Odcinkowa (MPO) to inicjatywa literacka Nowego Teatru w Warszawie, który buduje centrum kulturalne w dawnej bazie Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania na Mokotowie. Wspólnie z Korporacją Ha!art i Kulturą Gniewu będziemy przez dwanaście tygodni dostarczać wam kolejne odcinki horroru miejskiego. Każdy autorstwa innego pisarza. Szukajcie nas w Warszawie, Krakowie, Bytomiu, Wrocławiu i Poznaniu, słuchajcie w Trójce, czytajcie na stronie www.nowyteatr.org

wydawcy:
Nowy Teatr
Korporacja Ha!art

patroni medialni:

korporacja ha!art
wszystko, co się nie opłoca

gazeta
warszawa

KG
kultura
gniewu

Gazeta.pl

Trójka
radio

EXKLUSIV

I zaledwie pomyślał – poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw, stanowczo i natarczywie. Zaskakująco stanowczo i natarczywie, zważywszy że ciągnący był zarysem ledwie, kształtem mglistym i spowietrzałym. Tomasz szarpnął się, ogarnięty paniką – na nic jednak się to zdało. Kształt dysponował przemożną siłą i – wbrew oporowi – nieomal włókł Tomasza w stronę pobliskich schodów, wiodących gdzieś w dół.

– Kto ty jesteś? – krzyknął Tomasz – Trup-li, czy człowiek rzeczywisty?

Kształt sapnął tylko i przyspieszył jeszcze, ściągając go za sobą, po wyłożonych drobnymi kafelkami stopniach. Zanim półmrok zgęstniał ostatecznie, Tomasz kątem oka dostrzegł jeszcze umieszczoną przy wejściu, przykręconą grubymi śrubami tablicę, na której widniał napis: „KTÓRY TU WCHODZISZ: PISUAR – DWA ZŁOTE”. Coś zamknęło się za nimi z głuchym łoskotem i tylko jeszcze przez moment gdzieś z oddali dobiegały ostatnie, stłumione odgłosy tamtego piekła, które zostawili za sobą.

– Już nie człowiek – usłyszał – lecz i nie trup jeszcze.

Przystanęli. Tomasz oddychał ciężko: powietrze miało mdły zapach, przez który przebijała się słodkawa, ohydna woń – tak intensywna, jakby była nie zapachem już, ale smakiem. Otaczała ich ciemność, której fragment wyodrębnił się nagle w nieuchwytny początkowo sposób, by po sekundzie wypełnić się pozbawionym blasku światłem: przed Tomaszem jaśniała ludzka-nieludzka twarz, w której, w głębokich oczodołach, tkwiły punkty źrenic, drobne jak ostrza szpilek.

– Kto ty jesteś? – zapytał znowu. – Jak mówić do ciebie?

– Najlepiej wcale – powiedział kształt, choć twarz nie zmieniła się przy tym, jak gdyby używał medium innego niż drgania powietrza. – Wszyscy zbyt wiele mówicie i zbyt wiele piszecie. Wciąż tylko słowa, słowa, słowa – i oto doczekaliście się dnia, kiedy ciałami się stały. Im mniej będziesz mówił, tym lepiej dla ciebie – powtórzył – ale jeżeli musisz mnie jakoś nazywać, nazywaj Nargilim. A teraz – pójdźmy.

Jakby na rozkaz – ciemność zrzędała nagle, choć na tyle tylko, by wyteżony wzrok mógł dostrzec granice pomieszczenia: byli w wąskim korytarzu, z obu stron zamkniętym żelaznymi drzwiami. Ściany pokryte były gdzieś tam spękanymi kaflami, spod których przeświecał surowy beton, pokryty oślizłym nalotem. Betonowa była także podłoga, zalana gęstą, śmierdzącą cieczą.

– Pójdźmy – ale dokąd? – spytał Tomasz, mimowolnie szcękając zębami.

– Wiesz przecież dokąd – odpowiedział Nargili, na powrót mglisty i spowietrzały. – Do samego piekła. Nie ma już innych dróg, Warszawa wzięta.

– Sądziłem – powiedział powoli Tomasz, starając się zyskać na czasie – że najkrótsza droga do piekła wiedzie przez cmentarz...

– Cmentarz jest wszędzie! – warknął Nargili – Do piekła zaś idzie się tędy: przez zapomniane szalety, kanały i tunele metra. To tamci, którzy stawiali Pałac, przygotowali sobie taki skrót, żeby sobotni powrót do domu nie zajmował im nazbyt wiele czasu. Chodźmy.

I ruszył, pociągając znowu Tomasza za rękaw. Popchnięte drzwi na końcu korytarza otworzyły się z metalicznym zgrzytem: pomieszczenie za nimi ciągnęło się aż poza obręb oświetlony przyćmionym światłem migoczących, otoczonych drucianymi klatkami żarówek, wiszących pod sufitem. W oddali widać było porozbijane skorupy pisuarów i szereg kabin: powyrywane z zawiasów drzwi leżały na podłodze, napęczniałe od brudnej mazi. Panowała cisza, gdzieś tylko woda kapała miarowo, a rytmiczny plusk odbijał się wielokrotnym echem.

– Dalej! – zawołał Nargili – Na ciszę musicie zasłużyć!

I, jak w dziecinnej zabawie, kiedy ktoś krzyknie „pobite gary”, z niewidocznych wciąż kabin dobiegł nagle przeraźliwy skowyt, jęki, brzęczenie łańcuchów – i coś straszniejszego jeszcze, jakby ktoś piskliwym głosem własne wiersze deklamował. Tomasz zmartwiało, lecz wciąż ciągnięty za rękaw posuwał się posłusznie, z głową wciśniętą w ramiona, metr, dwa, trzy – a kiedy zrównali się z pierwszą kabiną, zobaczył, że siedzi w niej młody człowiek, łańcuchem przykuty do rury odpływowej: choć w oplakanej kondycji i umazany podejrzanym błotem, spoglądający przecież wcale inteligentnie zza szkieł okularów. Nargili przystanął.

– Kimże jesteś? – zapytał Tomasz, bardziej nawet zdumiony niż przerażony.

– Jestem pisarzem – odpowiedział ów dyszkankikiem. – Pisarzem, pisarzem, pisarzem. Jestem pisarzem młodym i zdolnym. Młodym i zdolnym, młodym i zdolnym...

– Za co cię tu trzymają? – spytał znowu Tomasz, nim tamten zdążył dokończyć.

– Za niewinność – zajęczał pisarz. – Za niewinność, niewinność, niewinność...

– Mów! – sapnął groźnie Nargili – Powiedz mu, za co siedzisz.

Pisarz zwiesił głowę.

– Pierwsza powieść: osiemset stron. Druga powieść: tysiąc dwieście. Trzecią wydawca wykradł mi podstępem, kiedy miał stron dwa tysiące i osiem. Zakończenie sam dopisał, pozamykał wszystkie wątki. Zmieściło mu się na tej dwa tysiące ósmej...

– A kto na ziemi – ryknął Nargili, nie wiedząc czemu ogarnięty nagle furią – kto na ziemi nie skreślił ni zdania, ten na wieki skreślony jest w niebie!...

Poszli dalej, nie zważając na szloch młodego pisarza. Minęli kilka kabin pustych, ale w szóstej, siódmej może, znowu siedział młody człowiek: drobny i długowłosy, o spojrzeniu daleko smutniejszym zza szkieł grubszych jeszcze.

– Martwię się o Marysię, jest chyba smutna ostatnio – powiedział. – Ojej, ja też się o nią martwię. Nie martwmy się jednak. Zaparzę herbatę. Kubek gorącej herbaty robi nam doskonale. Napijesz się ze mną herbaty?

Tomasz spojrział na Nargilego zaskoczony.

– Pisał dialogi do seriali – wyjaśnił mu ten głosem posępnym.

– Herbata dobrze mi robi – dodał człowiek w kabinie. – Być może kiedy pokrzepię się kubkiem doskonałej herbaty, nie będę się martwił o Marysię. Ona ostatnio jest chyba smutna. Może gdyby piła więcej herbaty...

Ruszyli. W przedostatniej kabinie, z nogą przykuta wprost do klozetu, siedział młodzieniec trzeci, w dżinsach i kusej kurteczce, z szyją owiniętą szalikiem, cokolwiek przybrudzonym brązowymi plamami. Okulary miał druciane i okrągłe.

– Za co tutaj? – zapytał Tomasz.

– Za wrażliwość – westchnął młodzieniec rozdzierająco i machnął dłonią.

– Poeta?

– Nie. Dramaturg. Wrażliwy społecznie.

– Nadwrażliwy społecznie – syknął Nargili. – Mniejszości seksualne, podziemie aborcyjne, opresyjny katolicyzm, postkolonializm, antysemityzm, bagno lustracji i wyzysk pracowników marketu spożywczego. Osiem aktów, trzy antrakty. Chmielna na Marszałkowską waliła drzwiami i oknami.

Poszli dalej. W półmroku, nieopodal dających się już dostrzec żelaznych drzwi, siedział jeszcze jeden.

– Też piszesz? – spytał Tomasz, który z wolna zaczynał rozumieć...

– Nie – odrzekł mu ów, spoglądając smętnie – jestem onanistą. Dali mi tu skierowanie ze względu na okulary.